



**HELENA  
SEKUŁA**

**DZIEWCZYNA  
ZNIKAŁ**

Helena Sekuła

# DZIEWCZYNA ZNIKAŁ

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-07-4

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

## I. Czerwone drzewa

Niespotykaną popularność i błyskawiczną karierę Piotr Radley zawdzięczał paryskiej wystawie swych prac. Paryż wylansował go i ustawił w czołówce fotografików o światowej sławie. Skromny fotoreporter, znany tylko kolegom po fachu i czytelnikom niektórych warszawskich tygodników o nie największym nakładzie, stał się z dnia na dzień sławnym artystą-fotografikiem, którego prace – fascynująco nowatorskie – wprawiły w zachwyt zblazowaną stolicę świata.

Piotr Radley w Paryżu był pierwszy raz w życiu. Z żarliwością neofity chłonał legendarną atmosferę miasta wielbionego przez tyle pokoleń pisarzy.

Czy Paryż go olśnił?

Nie można było na to pytanie dać odpowiedzi, patrząc na jego świetne zdjęcia. Piotr Radley nie utrwalił ani jednego fragmentu miasta. Fotografował przeważnie ludzi. Jego zdjęcia były reprodukowane przez prawie wszystkie ilustrowane magazyny Francji. Nazwisko niezbyt znanego warszawskiego fotoreportera rozślawiły paryskie tygodniki, a następnie prasa całej niemal Europy.

A wszystko zaczęło się od kieliszka czerwonego wina wypitego w popularnym bistro w Dzielnicy Łacińskiej. Piotr Radley przeglądał tam próbne odbitki świeżo zrobionych zdjęć. Z niektórych był niezadowolony – uważał, że jeszcze raz należałoby poprawić korekcję. Nie spostrzegł, że od kilku minut jakiś mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stoliku, ze wzrastającym zainteresowaniem zagląda mu przez ramię.

Radley sięgnął po następną odbitkę.

– Fenomenalne! Niespotykany nastrój! – Usłyszał głośno wyrażoną opinię. Odwrócił głowę.

– Pan jest amatorem? – Szczupły brunet w binoklach zdradzał nieklamane zainteresowanie.

– Fotoreporterem – mruknął Radley.

– Medard Lagneau – przedstawił się brunet.

Radley bez entuzjazmu wymienił swoje nazwisko i wyciągnął dłoń do tamtego. Lagneau opanował zdziwienie, jakie ogarnęło go pod wpływem rezerwy okazanej mu przez fotografa.

– Nic panu nie mówi moje nazwisko? – zapytał po prostu i bezceremonialnie wyjął z ręki Radleya odbitkę, która go tak zainteresowała.

Fotografia przedstawiała rząd ciemnych drzew na tle chmurnego, szkarłatnego nieba. W pierwszej chwili trudno było określić, co sprawiało, że ten monotony pejzaż przykuwał uwagę i długo nie pozwalał oderwać od siebie wzroku. Może niesamowita barwa nieba, podobna do koloru płomieni, z groźnie skłębionymi chmurami? Może ekspresja drzew wywołujących wrażenie szarpanych, wyginanych groźnym wichrem? Jeszcze chwila, a wychyla się z kadru i legną zwalone pokotem. Usłyszy się trzask korzeni, łamanych gałęzi, czerwone niebo rozedrą błyskawice, a może stanie się coś strasznego, czego nie można sobie wyobrazić?

Lagneau – zapatrzony w zdjęcie – zapragnął nagle, żeby to straszne już się stało; poczuł się zmęczony niepokojem zastygłym w tym niesamowitym prostokącie papieru.

– Jestem od niedawna w Paryżu – wyzwoliło go spod wrażenia lakoniczne wyjaśnienie Radleya.

– Cudzoziemiec? – domyślił się Lagneau.

– Tak – skinął głową tamten.

– Pracuję dla kilku ilustrowanych magazynów – mówił Lagneau. – Nie, nie jestem fotografikiem – zaprzeczył żywo. – Ja oceniam, krytykuję... Najlepiej objaśnię, jeżeli

powiem, że to ja wylansowałem takich mistrzów fotografii jak... – wymienił kilka nazwisk fotografików o światowej sławie.

– Pan mnie chce wylansować? – uśmiechnął się z niedowierzaniem Radley.

– Tak. – Lagneau nie zwrócił uwagi na ironiczny ton fotografa. Przysiadł się do niego bez zapytania, podsunął sobie plik odbitek i za chwilę oglądanie ich pochłonęło go bez reszty. Wybrał piętnaście fotografii.

– Kupuję je – oświadczył. – Płacę za odbitki, prawa autorskie i tantiemy według ustalonego cennika. Jeszcze dzisiaj gotów jestem spisać umowę na dalsze... powiedzmy, trzydzieści sztuk. Tematy pozostawiam do pańskiego uznania – dodał szybko. – Zgoda?

Oszołomiony Radley zgodził się.

– Będzie pan sławny – powiedział Lagneau po podpisaniu umowy – i w niedalekiej przyszłości będzie pan o wiele więcej żądał i otrzymywał za swe prace – uśmiechnął się. – Ale zdaje się, że obaj zrobiliśmy nie najgorszy interes.

Opublikowanymi fotografiami Radleya natychmiast zajęli się specjaliści i znawcy – jednym słowem krytycy. Zaczął „Le Monde”. Autor obszernego artykułu wyrażał się bardzo pochlebnie, niemal entuzjastycznie o pracach polskiego fotografa. Krytyk z niepozabawioną wdzięku, dużą pewnością siebie jak zwykle wyjaśniał czytelnikom, co artysta myślał, czuł i co usiłował wyrazić, tworząc ten lub inny kadr. Prawdopodobnie sam twórca nie potrafiłby lepiej określić swoich stanów wewnętrznych towarzyszących powstaniu dzieł, a może znalazłby się w dużym kłopotcie, gdyby się od niego tego domagano.

Krytyk „Le Monde” pisał w zakończeniu recenzji, że oto został odkryty artysta o rzadkiej wrażliwości i bardzo indywidualnym talencie. Jego prace cechuje niepowtarzalny nastrój, ekspresja, życie.

Mniej więcej to samo pisała prawie cała prasa francuska.

Radley podbił Paryż i stał się modny. Paryski dowcip dnia głosił, że Francję najbardziej absorbuje OAS i... Radley. Później, w starej kamieniczce przy placu Vendôme, została zorganizowana wystawa jego prac. Obudziła ogromne zainteresowanie i nową falę entuzjastycznych publikacji prasowych.

Posypały się zamówienia na jego prace z wielu państw. Oczywiście sukcesy warszawskiego fotografa nie pozostały bez echa w kraju. Kilku poszukującym tematu krytykom stworzyły okazję do napisania ciętych artykułów, w których pognębili swoich kolegów po fachu, przypisując krytyce polskiej kompromitujący brak zainteresowania rodzimymi talentami, co – o hańbo! – robi za nią, jak zwykle, zagranica.

Wielu poczuło się dotkniętych osobiście – mimo że w enuncjacjach nie wymieniono żadnego nazwiska – więc grupa recenzentów „dotkniętych” odpowiedziała natychmiast na napaść z temperamentem i swadą.

Po niedługim czasie dwa obozy krytyków zmagaly się zajadle na łamach prasy polskiej. W dalszych publikacjach nazwisko Radleya powtarzało się coraz rzadziej – na przykład w tytule: „Casus Radley” – i czytelnicy przestawali rozumieć, o co toczą zażarte boje, tępiąc się z zimną zaciekłością, dwa skłócone obozy wtajemniczonych. Ale nie rozumieli tylko laicy.

Gwoli bezstronności należy przyznać, że obie grupy, przynajmniej w kilku zdaniach – ostatecznie nawet największy artykuł ma ograniczoną objętość – zgodnie chwalili Radleya, przypisując każdy sobie pierwszeństwo w odkryciu, a przynajmniej większą genialność w interpretacji prac Radleya.

W takiej aurze sławny już fotografa powrócił do Warszawy. Wobec tego wydarzenia swary recenzentów przycichły, natomiast zaczęto z wyjątkową jednomyślnością domagać się zorganizowania wystawy prac wybitnego artysty.

Prasa zapowiedziała otwarcie wystawy jako ewenement w życiu artystycznym stolicy.

Wystawę otwarto w Pałacu Kultury i Nauki. Wejście ozdobił plakat: powiększona reprodukcja „Czerwonych drzew” Piotra Radleya, które dały początek jego sławie.

W dużej sali, wśród licznie zgromadzonej publiczności, wiceminister Kultury i Sztuki przeciął wstęgę, powiedział kilka okolicznościowych słów, uściśnął dłoń fotografika.

Wystawa została otwarta.

Błyskały flesze, terkotały kamery telewizyjne i filmowe, zaaferowani operatorzy robili umiarkowane zamieszanie, wiecznie śpieszący się reporterzy przeciskali się bliżej do upatrzonych ludzi noszących znane nazwiska i prosili o kilka słów na temat wystawionych prac – których ani oni, ani ich „ofiary” nie zdążyły jeszcze obejrzeć. Im nazwisko było bardziej znane, tym gorliwiej biegał reporterski ołówek, aby nic nie uронić z cennej wypowiedzi.

Trzeba przyznać, że reporterzy mieli w czym wybierać. Wśród publiczności byli znani intelektualiści, literaci, ministrowie, dyplomaci, przedstawiciele świata artystycznego stolicy, zdaje się kilku generałów, nie mówiąc już o dyrektorach departamentów i pułkownikach, których zebrałaby się dobra kompania. Bardzo licznie przybyli koledzy po fachu artyści i rzesza snobów. Ci ostatni, oglądając wystawione prace, ostentacyjnie demonstrowali znajomość rzeczy, głośno cytując co mętniejsze fragmenty przeczytanych recenzji.

Brać reporterska z szaleństwem w oczach dopadała coraz to inną ofiarę i z szybkością rakiety odrzutowej aplikowała delikwentowi serię pytań. To był dziennikarski dzień. Najskromniejszy pracownik działu miejskiego redakcji (specjalność „michałki”) – wysłany jako „obsługa własna” pokazywał lwi pazur i zamieniał się w Kischa.

Wreszcie otoczyli gwarnym stadkiem Piotra Radleya i równie szybko, chociaż nieco przytomniej, zaimprovizowali konferencję prasową.

Poważni recenzenci i ci, co mieli się za poważnych, nie pospolitowali się w taki sposób – wyraźnie stronili od wyrobników pióra.

Koledzy po fachu artyści spacerowali małymi grupkami i w skupieniu przyglądali się wystawionym pracom, z rzadka wymieniając fachowe uwagi:

- To trąci kuchnią...
- Zrobione pod publiczność...
- Techniczne kuglarstwo – powiedział jeden z nich o „Czerwonych drzewach”.

W rogu sali grupka znawców i wtajemniczonych nie tylko w arkana fachu rozprawiała z niebywałym ożywieniem. Tu metodycznie i z zapalem nicowano życie prywatne Piotra Radleya.

– To hochsztapler – zaopiniował z przekonaniem wtajemniczony.

– Reporterzyna tolerowany z litości w tygodnikach – poparł wtajemniczonego inny znawca.

– A jednak się wybił i zna go niemal cała Europa – wyrwał się nietaktownie jakiś przypadkiem zabłąkany laik.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Fachowcy uporczywie, z lodowatą pogardą wpatrywali się w laika. Wreszcie niewtajemniczony zrozumiał, że popełnił gafę nie do darowania, nie wytrzymał nerwowo niemego bojkotu i zemknął z grona znawców.

– To alkoholik; piętno nałogu noszą jego zdjęcia, chociażby te „Czerwone drzewa”. Czy normalny człowiek może w taki sposób zobaczyć pejzaż? – Już bez przeszkód potoczyła się dalsza wymiana poglądów.

W dniu otwarcia na wystawę ściągały tłumy. Wokół Pałacu Kultury pełniło służbę kilku umundurowanych milicjantów. Spacerowali odmierzonym krokiem, byli służbiści i wyjątkowo grzeczni. Przy jednym z bocznych wejść nudził się dobroduszny kapral.

Na podjeździe zatrzymała się taksówka – trzasnęły drzwiczki. Jej pasażer, szpakowaty, elegancki mężczyzna wbiegł po stopniach i nie zwracając uwagi na kaprala, pchnął obrotowe drzwi.

– Pan nie wejdzie – niespodziewanie zaoponował kapral.

– Do mnie pan mówi? – zdziwił się szpakowaty pan.

– Zmiatać, ale już! – powiedział zwięźle milicjant.  
Elegancki mężczyzna stał niezdecydowany.  
– Mam ci dwa razy powtarzać? – chciał wiedzieć brutalny kapral.  
– Panie władzo... – Szpakowaty pan, niezrażony, zaczął pertraktacje.  
– Chcesz usiąść za opór władzy? Najmniej pół roku, artykuł 129 kaka – wyczerpująco poinformował kapral.

Elegancki pan zaniechał wreszcie prób porozumienia się z milicjantem i z godnością rozpoczął odwrót.

– Pozbawiony kultury dwunóg – mruknął gentleman wyprowadzony z równowagi, ale na tyle cicho, żeby źle wychowany milicjant nie usłyszał.

Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, już nie krępując się, wygłosił jeszcze kilka opinii na temat kaprala i jego rodziny.

Ostrożność eleganckiego pana była przesadna, ponieważ uwagę milicjanta po utarczce słownej natychmiast zaabsorbowało coś innego. Kapral przybrał najbardziej dziarską postawę, sprężył się słuźbiście, ręka podskoczyła do daszka czapki, obcasy stuknęły – po schodach szybko zbiegł pułkownik Henryk Lis.

Sierżant Pylak – kierowca jego służbowego wozu, zgrabnie podjechał przed wejście.

– Na Puławską – powiedział Lis, wsiadając do samochodu.

– Gdzie pułkownik załatwił taki szykowny spodzień? – zdziwił się Pylak, gdy Lis wysiadał przed gmachem Komendy Głównej Milicji.

Lis spojrzał na szofera, nie rozumiejąc.

– Kieszeń – wyjaśnił krótko kierowca. – W spodniach – uzupełnił.

Pułkownik odruchowo dotknął tylnej kieszeni spodni. Była równo przecięta w kształcie litery L. Pylak z miną eksperta obejrzał dziurę.

– Dolina [*Dolina – kradzież kieszonkowa.*] – orzekł po chwili. – Portfel pułkownik ma?

Lis gorączkowo obszukał pozostałe kieszenie – portfela nie znalazł.

– Nie... możliwe – bąknął bez przekonania. – Portfel na pewno zostawiłem w domu.

– Ma pułkownik szczęście – westchnął obłudnie kierowca. – Bo to cięcie na porteczkach jest fachowe! Bezczelni! Obrobić pułkownika milicji! – monologował Pylak. – To dlatego, że po cywilnemu, do munduru oni mają szacunek.

Pułkownik Lis bardzo szybko znalazł się w swoim gabinecie. Jeszcze raz dokładnie obszukał całe ubranie – nie ulegało wątpliwości, że portfel zniknął.

– Niech natychmiast przyjdzie major Korosz – polecił sekretarce.

– Pana ukochany zwierzchnik ma niewyraźną minę – poinformowała dziewczyna wchodzącego inspektora.

Lis rzeczywiście był niewyraźny, czuł się niewypowiedzianie głupio wobec faktu, że padł ofiarą złodzieja.

– Wróciłeś ze święta narodowego? – zdziwił się Korosz. – Byłem przekonany, że w tej chwili przeżywasz niepowtarzalne wzruszenia artystyczne.

– Już przeżyłem – mruknął niepewnie Lis, demonstrując uszkodzoną kieszeń.

Korosz przezornie powściągnął uśmiech na widok nieszczęśliwej miny przyjaciela.

– Zdaje się, że zostałeś okradziony... – zaczął ostrożnie.

– Co za genialna dedukcja! Zdaje się... – przedrzeźniał majora. Nie mógł darować inspektorowi dobrego humoru. – O ile mnie pamięć nie myli, już dość dawno pracujesz nad sprawą wzrastającej ilości – położył nacisk na ostatnie słowo – kradzieży kieszonkowych...

– Ściśle od dwóch miesięcy – uzupełnił major. – Dotychczas prowadzę rozeznanie środowiskowe.

– A tymczasem doliniarze spokojnie okradają twego szefa – poskarżył się żałośnie Lis.

– Jeżeli szef jest niedołęga... – mruknął pod nosem major.

– Co mówisz? – nie usłyszał Lis.

– Że przykry wypadek, Heniu – powiedział szybko major. – Co ci ukradli?

– Trzy tysiące złotych, dowód osobisty i jakieś nieważne papiery.

– Legitymację służbową masz?

– Mam. Z przyzwyczajenia noszę w górnej kieszeni – wyjaśnił pułkownik.

– Pieniądze przechowuj w PKO! – z namaszczaniem pouczył Korosz. – O kradzieży musisz złożyć oficjalne zameldowanie – używał sobie major. – Po znajomości przyjmę je sam.

– Jeszcze jedna niewykryta kradzież – westchnął sceptycznie Lis. – Dla celów statystycznych, ku rozszerzeniu wiedzy majora Korosza.

Zadzwonił telefon. Pułkownik podniósł słuchawkę.

– Pułkownik Lis, słucham?

Z bardzo dziwnym wyrazem twarzy wysłuchał pułkownik swego rozmówcy.

– Dzwonił chargé d'affaires ambasady francuskiej – wyjaśnił, odkładając słuchawkę. – Okradziono go na wystawie – spojrzał wymownie na Korosza.

– Lepiej ci? – dowiadywał się inspektor. – Masz towarzysza niedoli. Co mu ukradziono? Potrzebuję szczegółów dla celów statystycznych...

Odpowiedź Lisa znowu przerwał sygnał telefonu. Słuchając rozmówcy, pułkownik zasepił się.

– Dzwonił pisarz Y – okradziony na wystawie – zawiadomił majora. – Co ty na to, Andrzeju?

– Ja? Nic – zastrzegł się niewinnie inspektor. – Masz godne towarzystwo – wzruszył ramionami.

Trzeci telefon był od znajomego prokuratora, którego również okradziono na wystawie.

– To przestaje być zabawne – westchnął Lis. – Może być awantura, Andrzeju.

Znowu zadzwonił telefon – po chwili nastąpiła seria dzwonków. Informacje telefoniczne podobne były do siebie.

– Minister X – okradziony na wystawie.

– Aktorka Z – okradzona na wystawie.

– Prezes... korespondent zagraniczny „Paris Match”...

Falę dzwonków, po której zapadła cisza, zakończył telefon od sławnego fotografa Piotra Radleya, który również padł ofiarą złodziei.

– Czy to, jak dla mnie, nie za liczne towarzystwo? – zapytał Lis ogarnięty wątpliwościami.

– Jestem tego samego zdania – zgodził się skwapliwie major.

– ...*Uwielbiam drakę*... – jęknął śpiewnie Lis. – Przewiduję kolosalną awanturę za tę kompromitację.

– Do kompletu brakuje tylko telefonu od resortowego wicepremiera – stwierdził ponuro Korosz.

– Nie był na wystawie – westchnął z ulgą Lis.

– Policzmy nokauty – zaproponował major. – Przyjąłem sześć zgłoszeń.

– Ja osiem plus zameldowanie Radleya.

– Razem z tobą szesnastu okradzionych. – Korosz już nie starał się ukryć zdenerwowania.

– Zgadza się. – Pułkownik panował nad sobą. – O szesnastu za dużo. Kto zabezpieczał wystawę?

– Cieślik z jedną zmianą służby X i służba mundurowa – powiedział inspektor.

– Dawaj tu tego genialnego wywiadowcę! – zażądał Lis.

– Mam nadzieję, że cała heca nie skrupi się na Cieśliku – wstawił się major.

– Masz dobrą nadzieję – zgodził się Lis. – Skupi się na mnie.

Porucznik Cieślik, kierownik grupy tajnej służby milicji, zjawił się niebawem na wezwanie Korosza.

– Subiektywną adekwatność eksponowanych fotogramów i fotokopii... – zamiast powitania zaczął Cieślik. Przerwał rozpoczęte zdanie, ponieważ dopiero teraz zauważył stojącego przy oknie pułkownika Lisa.

– Melduje się porucznik Cieślik, na rozkaz! – zawołał z przesadą. – Chciałem zorientować majora w czynnikach, jakie decydują o skończonej dojrzałości dzieła artystycznego, o czym każdy kulturalny człowiek wiedzieć powinien – wyjaśnił skromnie, zezując na Lisa.

Pułkownik bez uśmiechu spojrzał na wywiadowcę.

– Pokażcie mi swoje dokumenty, poruczniku – zażądał.

– Dokumenty? – nie zrozumiał Cieślik. – To gestia Ireny, mojego zastępcy. Ale proszę, w każdej chwili są do sprawdzenia. Czy pułkownik życzy kasę pancerną na Puławską? Wprawdzie ciężka i mało poręczna, ale... Pułkownik życzy? – zakończył tonem sprzedawcy sklepowego.

– Chcemy obejrzeć wasze dokumenty – wyjaśnił Korosz.

– Proszę bardzo – Cieślik skłonił się niesłychanie wytwornie w kierunku oficerów i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przez chwilę jego dłoń zastygła w tym geście – na twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie, pod palcami nie wyczuł znajomej wypukłości portfela.

Szybko przeszukał inne kieszenie – rezultat był podobny. Teraz już gorączkowo zaczął wyrzucać zawartość kieszeni na biurko, ale portfela nie było.

– Zgubiłem? – przeniósł badawcze spojrzenie z inspektora na pułkownika.

– Może portfel został w domu? – bez przekonania odpowiedział Korosz.

– Nie – zaprzeczył Cieślik. – Ze względu na wystawę zmieniłem legitymację. Dzisiaj byłem fotografikiem, skromnym, ale z perspektywami na przyszłość... można powiedzieć: obiecującym – skomentował swoim zwyczajem.

– Cieślika też okradziono! – stwierdził ze zdumieniem Korosz, patrząc na Lisa.

Dopiero teraz porucznik poczuł się nieswojo.

– Jestem pierwszy jeleń – jęknął.

– Przesada – pocieszył go major. – Pierwszym jest nasz nieoceniony szef.

Lis spiorunował Korosza wzrokiem.

– To pułkownika też? – upewnił się ze współczuciem Cieślik.

– Też – warknął wściekle Lis.

– Przede wszystkim musimy zastanowić się – podjął major – jak wyjść z tego wszystkiego możliwie obronną ręką.

– Tu cię boli – mruknął Lis.

Major dyplomatycznie nie usłyszał uwagi przyjaciela.

– Manto i tak dostaniemy, a największe Cieślik – stwierdził z melancholią porucznik.

– Co dotychczas wiemy o kradzieżach kieszonkowych? – zmobilizował się Lis. –

Proszę! – zrobił gest w kierunku inspektora. – Przypomnij nam, Andrzej.

– W ciągu ubiegłych pięciu lat ilość zgłoszonych kradzieży kieszonkowych waha się od... do... rocznie. Sprawy wykryte stanowią czterdzieści pięć do sześćdziesięciu procent tej liczby.

– Rewelacje! I tego wszystkiego zdążyłeś się dowiedzieć w ciągu dwóch miesięcy?

Popatrz, popatrz – skrzywił się z pogardą Lis.

– Cierpliwości, Heniu – upomniął go łagodnie major. – Na przestrzeni ostatnich dwóch lat Wydział Techniki i Taktyki Przestępczości zaobserwował ciekawe zjawisko. Wprawdzie ilość kradzieży nie wzrosła, ale zdecydowanie zmienił się skład społeczny okradanych. O ile w ubiegłych latach gros kradzieży kieszonkowych stanowiły kradzieże w sklepach, na

bazarach, w popularnych środkach komunikacji miejskiej, o tyle teraz największy procent – który wzrasta – przypada na kradzieże dokonywane w luksusowych hotelach, samolotach i pociągach kursujących na międzynarodowych liniach, w ambasadach, eleganckich restauracjach...

– W Radzie Państwa jeszcze nie było? – zjadliwie upewnił się pułkownik.

– Nawet Korosza jeszcze nie okradziono – odciął się major. – Wracając do tematu, można stwierdzić, że wzrasta ilość poważnych kradzieży, natomiast zmniejsza się liczba kradzieży drobnych, przy niezmieniającej się na ogół globalnej.

– Dialektyka – westchnął milczący dotychczas Cieślik.

– Wyniki? – zapytał pułkownik.

– W ciągu dwóch miesięcy zlikwidowano: Związek Dwudziestu Sześciu – największą z dotychczas znanych organizację doliniarzy, działającą na terenie Wrocławia, dwanaście mniejszych zespołów kieszonkowców, działających w różnych regionach kraju, oraz inne małe zespoły, operujące w Warszawie, Łodzi, Krakowie i podobnych co do wielkości miastach. Ponadto obserwuje się trzydziestu kieszonkowców – podejrzanych o recydywę.

– Środowisko? – rzucił następne pytanie Lis.

– Całe dotychczas znane środowisko – i to zlikwidowane, i to, które obserwujemy – to kieszonkowcy przeciętnej klasy operujący, jak już mówiłem, w pociągach, tramwajach, na bazarach, w sklepach – lub też początkujący w rzemiośle.

– Kto wobec tego, twoim zdaniem, okrada podróżnych na międzynarodowych liniach lotniczych, w luksusowych hotelach, kto okradł siedemnastu ludzi na wystawie Radleya? – indagował Lis.

– Piętnastu! Już się przywiązałem do tej liczby – z żalosnym grymasem poprawił Cieślik. – Tylko piętnastu, pułkowniku.

– Asy – powiedział Korosz. – To nie znaczy, że tamta grupa, o której poprzednio mówiłem, nie próbuje szczęścia na bardziej luksusowym terenie.

– Co wiesz o Asach?

– Nic. Dotychczas nic – mruknął Korosz.

– Co, niewidzialni, czy jak? – nastawał Lis.

– W każdym razie dotychczas nie zostali przez nas rozpoznani.

– Temat można uznać za wyczerpany – westchnął Lis.

– Poruczniku, inspektor przekazuje wam sztafetę, proszę o sprawozdanie z wystawy. – Na wystawę nie przedostał się żaden ze znanych nam kieszonkowców. Nawet emerytów fachu, o których wiadomo, że są dawno nieczynni, nie wpuszczaliśmy. Za to daję głowę – powiedział z przekonaniem Cieślik.

– Jeszcze ją macie, poruczniku? – powątpiewał Lis.

– Podkreślam, że żaden ze znanych – z naciskiem powtórzył wywiadowca. – Chcieli dostać się do Pałacu Kultury – zwrócił się do majora – Ziółko, Złoty Polo, Messerschmitt – wymienił jeszcze kilka pseudonimów – żaden nie dotarł nawet do hallu. Służba mundurowa załatwiała ich niewytwornie, ale skutecznie.

– Jak widzę, to obu wam najbardziej przypadła do gustu hipoteza Asów. Niewidzialni, nieuchwytni geniusze kieszonki, królowie doliny! Robią jatki na głośnej wystawie, pod nosem jednej z najlepszych grup tajnej służby i mimochodem okradają jej kierownika. Nie byle kto was okradł, poruczniku – As!

– Cenię fachowców – mruknął Cieślik.

– Heniu, rzecz nie polega na terminologii – pojednawczo wtrącił major. – Drażni cię termin: Asy? Możemy powiedzieć, że są to kieszonkowcy wysokiej klasy, nieznani jeszcze milicji. Zgoda?

– Coraz lepiej. Znak Zorro! Obłąd – fuknął Lis. – Ale do rzeczy. Co robimy w sprawie tych... powiedzmy... piętnastu kradzieży? Musimy odnaleźć skradziony łup!

Oficerowie popatrzyli na siebie, żaden nie kwapił się z odpowiedzią.

– Założmy program minimum – odezwał się wreszcie Korosz. – Znajdźmy przynajmniej dokumenty.

Porucznik Cieślik spojrział bystro na majora, a później pozezował w stronę pułkownika.

– Jakie masz propozycje? – podejrzliwie zapytał Lis.

Major wyciągnął papierosa, stuknął nim o pudełko, później zaabsorbowała go płonąca zapalka. Cieślik z nagłym zainteresowaniem przyglądał się swoim paznokciom.

– No, śmiało, panowie – obłudnie zachęcał Lis. – Śmiało! Nagle opuściła was inwencja?

– To może pułkownik, jako bardziej doświadczony i starszy stopniem... doradzi nam, poinstruuje? – poprosił perfidnie Cieślik.

Lis przyjrzał się wywiadowcy jak ciekawemu okazowi, ale nie zdążył przekazać swoich myśli. Przerwał mu sygnał telefonu. Pułkownik podniósł słuchawkę.

Korosz z Cieślikiem wymienili spojrzenia – czekali na osiemnaste zgłoszenie o kradzieży. Jednak nic nie odczytali z twarzy swego szefa.

Lis spokojnie odłożył słuchawkę, poprawił krawat i obciągnął marynarkę.

– Wzywa mnie Komendant Główny – powiedział, wychodząc.

Cieślik z bolesnym wyrazem twarzy spojrział na majora.

– Manto? – wskazał palcem w kierunku drzwi. Zachmurzony Korosz niechętnie wzruszył ramionami.

– Najgorzej to z dygnitarzami niewiedzącymi, że istnieją komisariaty – ubolewał Cieślik. – Szef służby to stanowczo za mało. Zginie słomianka spod drzwi albo ukochany kundel, to zaraz musi o tym wiedzieć Komendant Główny! Niżej pułkownika milicja się nie liczy. Lis dostanie wycisk? – zapytał z westchnieniem.

Major połączył się telefonicznie z sekcją koordynacji.

– Proszę o przesłanie akt wszystkich znanych kieszonkowców – zażądał.

– Jeżeli coś wiedzą o nieznanych, to też – nie darował Cieślik. Potem wywołał przez selektor lokal służby X.

– Kiciu – zaczął miękko do dyżurnego. – Zbierz ten cały ogródek jordanowski, a szczególnie pierwszą zmianę i bądź uprzejmy zawiadomić ich, że... są wały, a nie tajna służba, paskudnie wystawione do wiatru przez dolinę...

Po tym wstępie przekazał informacje o kradzieżach na wystawie i zarządził ostre pogotowie dla całego oddziału, którym kierował.

Korosz rozmawiał z Komendą Miasta. Wydał polecenie, aby natychmiast służba mundurowa wszystkich komend dzielnicowych Warszawy sprawdziła alibi znanych kieszonkowców. Doliniarzy nie mających alibi w godzinach otwarcia wystawy – zatrzymać i dostarczyć na Puławską.

– Wierzy major, że da nam to jakieś wskazówki? – zapytał sceptycznie Cieślik.

– Nie wierzę. Robię to tylko tak, dla spokoju sumienia – powiedział Korosz.

– Szkoda czasu – mruknął wywiadowca. – Ułóżmy małą, a gustowną listę, dzisiaj przekażę wezwanie i na rano będzie miał major komplet.

– Nie zaproszę ich przecież do Komendy – obruszył się major.

– Tego nie powiedziałem – zgorszył się Cieślik. – Lisek umarłby z obrzydzenia, jakby zobaczył, z kim się major towarzysko zadaje.

– Kogo proponujecie z Warszawy?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI